Rok I Warszawa, 3 Grudnia 1921 r. Nr. 7

MYŚL NARODOWA

DZIKUSY

Zydzi ze Swarzędza chwalili się, że, wystąpiwszy z wielkim harmiderem, *przestraszyli* Napoleona. Oczywiście nawet koń Bonapartego nie fyrknął. Obywatele Państwa Niebieskiego straszyli Europejczyków malowanymi smokami. Tak zwana lewica, wyraz załukanej przez niewolę kultury polskiej, straszy przedstawicieli prasy narodowej najściami redakcji i potwarzą.

Redaktora „Gazety Warszawskiej" p. Wasilewskiego tak zwana defensywa w Kielcach postawiła przed kratki sądowe o to, że śmiał napisać o tak zwanych argumentach kieleckich, czyli bombach, zgniłych jajach i kamieniach Ba! Kielce stały się grodem sławnym od chwili, gdy tam „niepodległa" Polska przysięgła na wierność trupowi Franciszka-Józefa.

Redaktora „Gazety Porannej" p. Sadzewicza naszło dwóch przedstawicieli „ludu" w binoklach. Zdumiona Europa przez korespondentów swoich dowiedziała się o fakcie niesłychanym w dziejach kultury: oto chłopi polscy noszą binokle. Dziesięć wieków historji patrzyło na tę bitwę, no! nie pod Piramidami, ale na Schodach.

Na redaktora „Rzeczypospolitej" p. Strońskiego dziennik „Przegląd Wieczorny" zmyślił, tak jest zmyślił (!) zamach. Nie dość na tem, że skłamał, ale do tego monitował oficera, którego nazwiska pozwolił sobie użyć, że jego oburzenie jest niesubordynacją.

Więc cóż się dzieje w tem społeczeństwie polskiem?

Kronikarze wszystkich czasów zgodnie świadczą, że po wielkich wojnach zawsze rozmnażały się bestje drapieżne. W naszej dobie, gdy bestji czworonożnych prawie nie ma, a miejsce ich zajął człowiek, ów człowiek spełnia rolę hyjeny i szakala na pobojowiskach i zgliszczach. W każdym kraju powojennym włóczą się stadami lub pojedyńczo takie bestje.

Stan ex lex. Nie pomoże wymowa Cycerona. Myt podaje, że Orfeusz wzruszał skały, ale myt nie mówi, aby w tegoż śpiew zasłuchała się hyjena.

Jeżeli-kogo z was, przyjaciele i koledzy po walce ze zgrają, nie stać na utrzymanie psa, który przy takich napaściach jest najodpowiedniejszym gladjatorem, bo nie wdaje się w żadne „rozhowory", bądzcie sami gotowi do misji dyscyplinarnej, bądzcie gotowi w imię pacyfizmu, humanizmu i wszystkich innych izmów, w jakich się lubujecie.

Od chwili gdy Polska, odzyskawszy niepodległość, faktycznie wpadła w ręce kliczki żydowsko-socjalistycznej i wije się jak opleciony przez węże Laokoon, zawód pisarza narodowego stał się jeszcze cięższy, niż był przedtem.

Lecz w takich warunkach wzrasta siła moralna pisarza narodowego. Upoważnia go ona do bezwzględności i do pogardy wszystkiem co nikczemne, fałszywe, podstępne i głupie. I z tej pozycji nic go nie wysadzi, żadne napaści ani przeszkody. Ma w głowie i w sercu plan doprowadzenia do oświeconej wolności dwudziestu pięciu miljonów Polaków. I w tem jest niezwyciężony.

I. O. Grabowski.

W WIELKOPOLSKIEJ CANOSSIE

Druga mowa profesora Ponikowskiego w Poznaniu stoi już na znacznie wyższym poziomie dzięki kilku surowszym głosom oceny, z jakimi spotkało się kazanie krakowskie. Cały pomysł wyjazdu kompletu ministrów ad limina Sancti Adalberti należy wogóle należy uważać za bardzo szczęśliwy i sprytny. Prawdopodobnie podszeptał to gabinetowi któryś z krakauerskich machchiavelistów, gdyż wątpić należy, aby to była osobista idea sympatycznego premjera. Chodziło o szybkie „zatuszowanie" drażniących banałów, jakie wyrecytował prof. Ponikowski w Krakowie; należało jak najpośpieszniej zatrzeć w pamięci wyskok o „szkole krakowskiej", o „bratankach Węgrach" it.p.

Mowę swoją p. Ponikowski powinien był właściwie wygłosić, klęcząc i przybrany we włosiennicę; klęczeć też powinni byli przynajmniej dwaj ministrowie z tego gabinetu. Jeżeli cesarz Henryk mógł klęczeć przed bramą papieską w Canossie i to podobno w śniegu, to p. Ponikowski, który należał do protestujących przeciw wersalskiej uchwale, oraz dwóch jego ministrów, którzy pomagali mocarstwom centralnym w r. 1914 i 1915, powinni byli też klęczeć w sali Złotej poznańskiego ratusza; p. Downarowicz zaś powinien mieć nadto czuprynkę obsypaną popiołem. W każdym jednak razie dobrze się stało, że wreszcie sobie nasz rząd przypomniał o istnieniu tej dzielnicy i palnąwszy gaffę z wysłaniem premjera na rocznicę listopadową do Krakowa, przyspieszył to ekspiować w Poznaniu.

Zaznaczamy więc raz jeszcze, sermon jest lepszy, głębszy, precyzyjniejszy i polityczniejszy. Nie przesądza to atoli, żeby i w tem wypracowaniu nie było pewnych mankamentów.

Przedewszystkiem błędy językowe. Reprezentant inteligencji, znalazłszy się w dzielnicy, której zarzuca się ciągle posługiwanie się koślawym i pełnym prowincjonalizmów i germanizmów językiem, nie powinien pod żadnym pozorem przemawiać lichą i błędną polszczyzną. Tymczasem p. premjer mówił np. o Niem-

czech, że „nie *pasuje* do nich rola opiekunów pokrewnych nam plemion słowiańskich”. Sens dobry ale „nie pasuje” (es passt nicht) premjerowi zapominać o takich zwrotach, jak: nie nadaje się, nie do twarzy, nie wypada. Dalej mówił premjer: „ludność niemiecka musi się pogodzić z myślą, że potrafimy strzedz *suwerenitetu* swego państwa”. Sens doskonały, ale nie możemy się pogodzić z myślą, że nasz premjer inteligent używa germanizmu galicyjskiego, zamiast słów zwierzchnictwo, ewentualnie nawet suwerenność, ale przenigdy „suwerenitet”. Mówił jeszcze premjer: „rząd jak najusilniej popiera tę *rozbudowę* samorządową”. Sens znów bardzo piękny, ale okupacyjne, aktywistyczne, zawiłowsko-ronikierowskie słowo: rozbudowa, jest ohydnym, cekatycznym germanizmem galicyjskim (Ausbau), którego już wszyscy mamy dosyć. Do roku 1918 rozbudowywaliście Polskę z Beselerem, Mutziusem, Kriesem, Cleinowem. Potem rozbudowywali ją: Daszyński, Moraczewski, Thugutt, Bardel, Poniatowski it.p. Samorząd się gruntuje, rozszerza, pogłębia, ale nie rozbudowuje (wird ausgebaut). Jeszcze wiele stylistycznych niezgrabności możnaby wynotować z mowy reprezentanta inteligencji: „rozsadnik cech dodatnich”, „ustalenie kanałów, szos, kolei i dróg komunikacyjnych“, „brakpmachiny państwowej” it.p. it.p. wyrażeń nierażących w ustach remjera-ludowca np., ale „nie pasujących” w „rozbudowanej” poprzednio mowie reprezentanta „suwerenitetu” inteligencji o akademickiem czy politechnicznem wykształceniu. Ale nie godzi się znęcać nad stylistycznem i literackiem opracowaniem elaboratu premjeroskiego. Są jeszcze błędy inne. W wyliczeniu wielkich ludzi, których wydała ta dzielnica, trzymał się premjer i jego Egerja, p. Giełżyński, podręcznika bardzo uczniowskiego; zapomniał więc o Ostrorogu, o Leszczyńskim, o Staszycu, o Gołuchowskim, Libelcie, Komierowskim, Dominirskim, arcybiskupie Duninie, Trentowskim, a najniepotrzebniej wtrącił nazwisko Mierosławskiego, t.j. postaci raczej humorystycznej i zgoła nie poważnej, o ile się zna dzieje Polski nie tylko z „Wieczorów pod Lipą”. Grubym nietaktem i barbarzyństwem było przepomnienie o Janie Kasprowiczu, wielkim poecie, którego ta dzielnica wydała.

Twierdzenie premjera, jakoby rząd przybył do Poznania na to, aby poznać „potrzeby, życzenia i *pełnię* życia waszej dzielnicy” jest egzageracją; we dwa dni bardzo zdolny reporter nie pozna *pełni* życia czteromiljonowej dzielnicy, a cóż dopiero kupka bankietujących ministrów, z których większa część raczyła zjechać do Poznania po raz pierwszy w życiu. O pracowitości Wielkopolan mówił premjer-przypadek stanowczo za dużo. Ta gadanina o pracy i pracowitości jest już truizmem i banałem. Każdy mąż stanu błogosławionego ministerjalnego na każdym bankiecie poznańskim mówi wciąż o tej pracy. Ich to już nudzi i drażni. Nie ich pracowitość tylko, ale ich rzetelność, sumienność, punktualność, skrupulatność, ich twardy, niezłomny cha-

rakter jest imponujący, ich poczucie odpowiedzialności, obowiązkowość, ich kult kompetencji, ot co jest najważniejsze. Tak każdy szewc pilnuje swojego kopyta, a nie każdy profesor zdecyduje się brać na siebie godność nie już premjera, ale prezesa banku, czy patronat exemplum Pernaczyński. Nie wspomniał też p. Ponikowski o ich wspaniałej postawie podczas wojny, zuchwałych mowach w parlamencie Styczyńskiego, Trąmpczyńskiego, Korfantego wtedy, kiedy przyjaciele polityczni p. premjera jeździli do Potzdamu wygłaszać mowy do Wilhelma, jako „księcia pokoju"....

Bakalarski nałóg p. Ponikowskiego dał mu impuls do kilku płyciutkich frazesów o szkodliwości antagonizmów dzielnicowych. Udzielać lekcji o miłości do innych dzielnic Wielkopolanom, którzy dali u siebie chleb i posady przeszło 20,000 Polaków z dzielnicy austrjackiej a na Pomorzu, goszczą około 20,000 uchodźców z Kresów, Wielkopolanom, których dywizje uratowały Lwów i Warszawę, to jest shoking. Jeżeli p. premjer jest tak „za wymianą morgów" między dzielnicami, jeżeli twierdzi sofistycznie, że Wielkopolanie „zazdrośnie strzegą swoich dodatnich cech charakteru", a nie stają się ich rozsadnikiem w całym państwie", to pozwalamy go sobie zapytać, ilu to Wielkopolan znalazło chleb i posady w Galicji, choćby w przemyśle, w handlu galicyjskim? ilu jest w ministerjach pracy, handlu, skarbu, robót publicznych w Warszawie? ilu wielkopolanom daliście choćby podrzędne stanowiska w dyplomacji? ilu w sztabie? ilu w konsulatach? Dotychczas bowiem odnosi się wrażenie, że solidna Wielkopolska jest najbardziej „naciąganą" prowincją Polski, ale nadal stale traktowaną, jako „minderwertig", jako „dominion", jako „subkingdom". Z trzech synów jest to syn najniezgrabniejszy, najskromniejszy, najmniej światowy i europejskich „manier", ale najrzetelniejszy i ciągle w krytycznych momentach ratujący dwóch innych. Poniżenie Wielkopolan: dziateczki miłujcie się, jest trywialną sofisterją. Wielkopolanie inne dzielnice miłują konkretnie, realnie, tak, że to da się ująć w cyfry i tolerancję względem formalnej inwazji rodaków z pod Austrjaka i Galicjaków z Kongresowy doprowadzili do ostatnich granic cierpliwości. Ilu Wielkopolan znalazło wikt i opierunek w Krakowie, a ilu to krakauerów rządzi dziś i rej wiedzie na Pomorzu i w Wielkopolsce?

Miłość międzydzielnicowa powinna polegać na wzajemności, ale nie na wyzysku dzielnicy uczciwszej, naiwniejszej, mniej sprytnej i obrotnej, mniej „wyrobionej politycznie", t. j. nie tak bezecnie skorrumpowanej, jak ściślejsza ojczyzna Łańcuckiego, Dąbala, Stapińskiego, Bryla, Daszyńskiego, Jaworskiego, Kowalskiego, Górki, Loewensztejna it.p.

Nadto antagonizm dzielnicowy jest wszędzie. Nasz premjer-nota-bene Ponikowski nie ma pojęcia o antagonizmie Szkotów do Wallijczyków, Flamandów do Bretonów, Gaskończyków i Prowansalów, Bawarów do Prusaków, Wirtenberczyków do Prusa-

ków, Katalończyków do Aragończyków i.... Galicjan. Antagonizm dzielnicowy w Jugosławji, szczególnie w stosunku całej S. H. S. do austrjackich Kroatów chytrych a zachłannych doszedł do niebywałego stopnia napięcia. Otóż antagonizm międzydzielnicowy i międzyszczepowy jest zjawiskiem z punktu widzenia państwowości najbezwzględniej szkodliwem i ujemnem. Jak atoli nienależy zwalczać regjonalizmu na benefis wysysającego i niwelującego centralizmu, tak też nie należy antagonizm dzielnicowy leczyć faworyzowaniem jednej dzielnicy i to właśnie najmniej godnej, a traktowaniem drugiej na codzień jako Kopciuszka, a raz do roku w toaście bankietowym czy w mówce ratuszowej klepaniem po plecach protekcyjnem jako pracowitego i oszczędnego Wojtka, ale Wojtka. Kilkogłową eskapadą ministerjalną Wielkopolanom się nie zaimponuje i nie zabłaguje. Trzeba przerwać dyktowane i narzucone przez c. k. krakauerów i c. k. socjalistów sabotowanie Wielkopolski, jako reakcyjnej Wandei Dmowskiego, Trąmpczyńskiego, Seydów, Dowbora-Muśnickiego i „klechów". Swojeśmy już zrobili, unifikacja już jest, jest pasek, warszawscy żydzi, komuniści, jaczejki belwederskie, kabarety, lichwa mieszkaniowa, gościnne występy Moraczewskich i Thunichtguttów, futuryści oraz „padam do nóg" i „całuje rączki" w każdej kancelarji. To myśmy wnieśli w posagu do Wielkopolski.

Czas najwyższy, aby teraz „ich dodatnie cechy" istotnie starały się „rozsadnikiem" w całem państwie, jak tego domagał się nasz premjer. Jeżeli to się zrealizuje a nie pozostanie tylko czczym frazesem, podlizującego się wieloletniego germanofila, to wszystko dobrze, all-right!

Wtedy cała ta demonstracja z pokazywaniem „Poznaniakom" „żywych ministrów", w pełnej gali będzie miała już swój sens.

Adolf Nowaczyński.

ŻYWOT I MYŚLI P. JANA DĄBSKIEGO

III.

Rozejm z Moskwicinem! Ileż ich w dziejach naszych było i iluż niepospolitych statystów kładło swe pieczęcie na traktatach z niesamowitą wprost umiejętnością wydzieranych z gardzieli przebiegłych i wykrętnych Septentrionów. Jak Possewin w Kiwerowej Horce, jak Lew Sapieha w Dywilinie, jak Potocki w Cudnowie, jak Jakób Zadzik w Polanowie, tak Jan Dąbski w Rydze wiktorje rycerstwa polskiego ujmuje w artykuły traktatu i przywraca znękanej Rzeczypospolitej *status pacis* i rozległe wschodnie dziedziny oddaje z powrotem macierzy. Jan Dąbski... Czyż był kto w Polsce w październiku roku 1920, ktoby nie wymawiał tego nazwiska z cichym szeptem błogosławieństwa? Azali

znalazł się który, ktoby nie zanosił dziękczynień do Opatrzności, że oto z jej łaski stanął między nami ów *vir incomparabilis?*

A jednak jedno tylko miasto znalazło się w Rzeczypospolitej, wprawdzie nie bardzo podła mieścina, ale zawsze tylko Śniatyn, który nie poskąpił mu laurowego wieńca i w księgach magistrackich jako swego obywałela honorowego wpisał to nazwisko: Jan Dąbski. A jednak jeden tylko dziennik stołeczny, wprawdzie apologji i panegiryków dostawca nadworny, ale zawsze tylko „Kurjer Poranny" oddał należny hołd zasłudze, pisząc, że twórcą pokoju był tylko on: Jan Dąbski. A jednak jedna tylko partja, wprawdzie rządząca i potężna, ale zawsze tylko partja pp. Brylów, Bardlów i Rączkowskich zapisała w księdze zasług stronnictwa preliminarz ryski pod nazwiskiem: Jan Dąbski (dodając przytem i drugie: Wł. Kiernik).

O bo w Polsce, jak mówił margrabia Wielopolski, „ludzi historycznych inaczej historja inaczej motłoch ocenia". Sam p. Dąbski na ostatnim kongresie P. S. L. mówił: „ocenić *zasługę* może tylko ten, kto widział dokumenty przygotowane do zawarcia pokoju i porównał je z tem co zostało *zdobyte*". Niezawodnie, tak powie historja. A motłoch powiada, że instrukcje Rządu i Rady Obrony Państwa, jakie zawiózł p. Dąbski do Rygi, były takie, że gdy się je porówna, z tem co zostało tam *stracone*, można ocenić całą doniosłość gaffy popełnionej przez prezesa polskiej delegacji. Gdy p. Dąbski zasiadł po raz pierwszy w sali Czarnogłowców, czerwone armje zmykały w popłochu. Partnerowi p. Dąbskiego, Joffemu chodziło tylko o jedno, o podpisanie preliminarzy jak najrychlej. Złośliwi opowiadają, że z chwilą, gdy granice zostały ustalone, p. Joffemu udało się pozyskać dla siebie znanego mentora p. Dąbskiego, nazwiskiem Spryt, a p. Dąbski pozostawiony tylko samemu sobie dał się porwać urokowi bolszewickiego dyplomaty i jak małpie grono z „Księgi Dżungli" Kiplinga wpadł w paszczę tego węża Kaa. Tak stanął sławny protokuł z 5 października, podpisany na herbatce u monsieur Joffe, w czułem sam-na-sam, kiedy to p. Dąbski z Tupetem (ale już bez Sprytu) podpisał zobowiązanie zawarcia preliminarza za trzy dni, wtedy gdy sprawy odszkodowań, złota, repatrjacji, gwarancji wisiały jeszcze w powietrzu. To też powędrowały one na księżyc, skąd do dziś dnia je ściągamy i niezawsze, jak wiadomo, ze skutkiem.

Tak prawił motłoch: Grabski, Barlicki, rzeczoznawcy, prawnicy, ekonomiści i Kiernik, nawet Kiernik. Ale, miły Boże, choćby i tak było, toż Achilles miał swą piętę, Zygfryd łatkę na piecach, a Jan Dąbski Adolfa Joffego. W Ministerstwie, w Sejmie, w stronnictwie mawiał p. Dąbski:

— Joffe, och to najlepszy dyplomata, jakiego spotkałem w życiu...

Zdaje się, że nikt nie może mieć wątpliwości, iż p. Dąbski wielu dyplomatów spotkał w swem życiu. A po 5 październi-

nika, kiedy, jak głosi ów motłoch, Joffe złapał w pułapkę jego, Jana Dąbskiego, któż zaprzeczy, że jest dyplomatą najlepszym. A jednak, gdy p. Dąbski drugim razem stanął z p. Joffem w Rydze oko w oko, położył go na obie łopatki. I położył go sam jeden, chociaż Sejm upierał się, by posłać mu pomoc. Chciał jechać Grabski, Barlicki i Kiernik. Tupet dyktował depesze jakiemuś dziennikarzynie, że przyjazd tych posłów sprawie (p. Dąbskiego) zaszkodzi, a Spryt zacierał ręce:

— Już my tu w trójkę, ty, Jasiu, Tupet i ja damy sobie radę z tym Moskwicinem.

Jakoż i dali. Z kraju wołano, by podpisać pokój przed plebiscytem górnośląskim. Sowiety w cichem porozumieniu z Niemcami zwlekały. A jednak Traktat Ryski p. Dąbski złotem emaljowanem piórem (złożonem w Muzeum Narodowem) podpisał 17 marca w przeddzień plebiscytu. Wprawdzie ludzie złej woli głosili, że wiadomość o pokoju już nie zdążyła dojść do ludu górnośląskiego i że termin ten pokoju ryskiego był nową sztuczką Sowietów, a p. Joffe mógł o p. Dąbskim powiedzieć, jak owi zagraniczni łapigrosze z XVI wieku o wojażujących polskich szlachcicach: *Minchione comme un Polacco*—ale na to jest jedna odpowiedź: kto chce uderzyć, zawsze kij znajdzie.

A zresztą p. Dąbski, któremu nikt odmówić nie może znajomości Rosji, stwierdził w klubie poselskim i w Ministerstwie:

— Kłamstwem jest, jakoby Sowiety były w porozumieniu z Niemcami...

W tem twierdzeniu nie należy dopatrywać się w dalszym ciągu uroku węża Kaa, ale daru orjentacji, jakiej p. Dąbskiemu od czasu, gdy pisał swą rozprawę Wiesława Polonusa, jako żywo odmówić nie można.

Po zawarciu Traktatu Ryskiego p. Dąbski mógł oczekiwać, że nadszedł czas, aby wreszcie wice-tekę zastąpiła cała teka. Sposobność nadarzała się wyśmienita. W czasie nieobecności p. Sapiehy Komisja Spraw Zagranicznych postanowiła go utrącić. P. Dąbski na obronę swego szefa nie mógł powiedzieć nic. Dziś z mowy jego na kongresie P. S. L. wiemy, czemu to przypisać. Oto co mówił tam p. Dąbski:

— Siedziałem 2 lata w Ministerstwie i widziałem dużo rzeczy... Najważniejszem zadaniem jest zmiana polityki zagranicznej w duchu demokratycznym. Trzeba wprowadzić świeży żywioł, dawać synów chłopskich, którzy osiągnęli wyższe wykształcenia (choćby w akademji Enkaenu). Brałem w tej robocie udział i widziałem, jak zdrowy chłopski rozum lepiej rozstrzyga zawiłe sprawy...

Jak wiadomo ks. Sapieha ustąpił, a p. Dąbski czekał, że Partja zdoła wprowadzić „świeży żywioł“ i jego „zdrowemu rozumowi” odda rozstrzyganie „zawiłych spraw“ w „tej robocie“. Stał wówczas u szczytu powodzenia, w bezkrólewiu ministerjalnem był interrexem; w powodzi nazwisk kandydatów raz po raz

padało to znane, to głośne, to zasłużone: Jan Dąbski. Już był w ogródku i witał się z... teką. W tem przyszedł p. Skirmunt.

Wprawdzie p. Dąbski, który „widział dużo rzeczy“ rozumie, że ideałów nie osiąga się z dnia na dzień, przyznać jednak trzeba, że mógł mieć słuszny żal do Partji. To też zrozumiałe są słowa jego, pełne goryczy, jakie wypowiedział na ostatnim kongresie Partji:

— Zamało zwracaliśmy uwagi na sprawy międzynarodowe. Czuliśmy się niezdolni, przekazywaliśmy je mądrzejszym od nas, elegantszym...

Tak więc „elegantszy“ p. Skirmunt objął tekę a p. Dąbskiemu nadal pozostała wice-teka. Ale i tu miał sposobność raz jeszcze wykazać wszystkie zasoby swych zdolności w sprawach miedzynarodowych. Jak wiadomo, stosunki z Sowietami od kilku miesięcy pozostawały w nieustannem zaognieniu. Postanowienia Traktatu Ryskiego ciągle wisiały na księżycu, zato Sowiety nie ustawały w pogróżkach z powodu rzekomego naruszania przez Polskę Traktatu przez popieranie białogwardzistów, Sawinkowa, Petlury, Tiutiunyka, Bałachowicza *et consortes*. Zawiłe sprawy zdrowy rozum rozstrzyga jednem cięciem. *Exemplum*: węzeł gordyjski i Aleksander Macedoński. To też p. Dąbski dn. 6 października (akurat w okrągły roczek po herbatce u p. Joffego) na czułem sam-na sam z p. Karachanem podpisał umowę, mocą której z Polski mają być wydaleni białogwardziści w liczbie 14 działaczy rosyjskich, ukraińskich i białoruskich. Między nimi i ataman Petlura, ten sam Petlura, z którym p. Dąbski półtora roku przedtem podpisał ów „szyroko-hłuboko“ pojęty pakt sojuszowy.

Jak wówczas tak i teraz (już z tym Petlurą to sie nie ma szczęścia!) powstał huczek. Komisja Spraw Zagranicznych oświadczyła, iż te sprawy należy „powierzyć ludziom zdolnym do obrony interesów Państwa“. P. Skirmunt na obronę p. Dąbskiego nie powiedział nic. Partja, nawet partja, odepchnięta w tym czasie od stołu rządowego, umyła ręce. P. Dąbski, widząc także „w murach Grenady zarazę“, musiał ustąpić. Ale ludzie tej miary, co p. Dąbski, nie odchodzą ot tak sobie, otrzymawszy jak fornal na św. Michał terminatkę od j.wielmożnego dziedzica. Gdy ustępują, „trzęsą się Maurów posady“.

P. Dąbski za radą nieodłącznego swego towarzysza Tupetu postanowił wstrząsnąć posadą p. Skirmunta. Zaprzysiągł mu wzorem staroszlacheckiej t. zw. „odpowiedzi“ zemstę: w „kościele, w łaźni, na polu, jedząc, śpiąc na drodze i na każdem miejscu mścić się na nim będzie i na gardle jego usiędzie”.... Miał jeszcze wiarę, że gdy na klubie poselskim huknie stentorowym głosem na owego hrabskiego syna, zajmującego miejsce synów gospodarskich, to jak dawniej, jak w Bóbrce lub Sądowej Wiszni, rozlegną się głosy chóralne: Fajno godo! I rzeczywiście, gdy p. Skirmunt wrócił z Pragi z układem czesko-pol-

skim, klub P. S. L. złożył do laski marszałkowskiej wniosek nagły, wymierzony przeciw ministrowi, powiadając, że polityka jego „schodzi na tory doktryny panslawistycznej“. Straszne te słowa, pachnące carosławiem, prawosławiem, jedinodierżawiem, w reakcyjnym nawskroś Sejmie nie wywołały efektu. Nie wiedział bowiem p. Dąbski, gdy wniosek ów układał, że Partji bynajmniej nie chodzi o ministra Skirmunta, ale o wywalenie przy tem ministra Michalskiego, który wyssał z palca bajdy o nagromadzonych w chłopskich skrzyniach miljardach marek. Nie wiedział, że Partja, jak prędko wjechała na panslawizm, tak prędko z niego zjedzie, tu i owdzie tylko zatrącając o bułgaryzm.

Partja postanowiła głosować za ratyfikacją układu z Czechami, partja za cenę degresji w daninie dla małorolnych pogodziła się z p. Michalskim. P. Dąbski został sam.

Mógł p. Dąbski, jak tylu innych paść do kolan ludowego Jupitera ze słowami żalu i przywiązania. Mógł, jak dawniej, obok władcy chmur, Witosa, zasiąść na Olimpie piastowskim, jako drugi po nim bóg „zawiłej roboty zagranicznej“ jako Apollo „elegantszy“ bezsprzecznie od tylu innych Brylów i Kierników. Mógł... Ale Jan Dąbski, jak tyle innych indywidualności, skrojonych nie na miarę krawca, nie mógł. Zaiste, nie mógł.

I oto p. Dąbski w lwiej skórze Herkulesa postanowił samotrzeć z Tupetem i Sprytem wymieść stajnię Augjasza. Sylfy sejmowe mówią, że p. Dąbski tworzy w Partji frondę. Raz już przymknął oczy na towarzyszów biorących koncesje, ale dziś woła im: fora ze dwora! Dziś zaczyna walkę Tytanów. Powiadają, że papa Stapiński zawrzał ku niemu znowu *paterno affectu.*

— — — — — — — — — — — — — —

Takie są dotychczasowe koleje żywota i taka jest przędza myśli p. J. Dąbskiego. Że nieraz jeszcze ów mąż wystąpi w pełnym rynsztunku na arenie publicznej, tego mniej polityce, jeszcze mniej dyplomacji polskiej, najbardziej sercem całem satyrze polskiej życzymy.

R. Stanecki.

ZZA KULIS NASZEJ DYPLOMACJI

PORTRET DORJANA GRAY'A

Czy znacie państwo subtelną opowieść Oskara Wilde'a [1]) o „Portrecie Dorjana Gray'a“? Czy pamiętacie owego młodego lorda, który nie starzeje sie i kwitnie, podczas gdy za każdym jego nowym występkiem, koncesją czy kapitulacją moralną, pojawiają się na jego portrecie, przechowywanym na zapadłym gdzieś strychu, szpecące urodę modela fałdy, usterki i zmarszczki.

---

[1]) Czytelnicy pamiętają zapewne tragiczny koniec więźnia z Reading oraz atmosferę skandalu, jaką otoczyła ten koniec bogobojna Anglja.

Dorjanów Gjay'ów nie brak w żadnej dyplomacji. Otaczali oni „okrągły stół“ Wilhelma II, kołysani w takt swoich marzeń i tonów ręką muzykalnego ambasadora Rzeszy Niemieckiej w Wiedniu. Widywano ich wśród kwirynalskich przedstawicieli Austrji i wśród wyrafinowanych dyplomatów rosyjskich: Od ministrów do *attachés* — po wszystkie czasy, rumieniły się lub młodość straciły, jak ów powieściowy „portret Dorjana Gray'a“ niejedne już dyplomatyczne „oblicza“.

Nasi młodzi dyplomaci podwójnie winni być ostrożni, o ile chodzi o zasadzki, pośrednio choćby związane z ich fachem. Robak się bowiem lęgnie w bujnym kwiecie światowych rozkoszy, wąż czai w trawach i chwastach zdegenerowanej schyłkowej cywilizacji. Niech dobrze patrzą gdzie stąpa ich noga! Dochodzą nas przecie całkiem wiarogodne echa, że nie zawsze bywają szczęśliwi w wyborze uczęszczanych przez siebie klubów i kawiarni, że niektóre płoche ich eskapady omal że się nie skończyły tragicznym giestem sprawiedliwości, że ich nazbyt często zniewieściała poza bądź też znajomość ze szczególnie przez obyczajową policję śledzonym kolegą, dawały do myślenia cudzoziemcom, iż niedość czujni są na grę pozorów... Rzeczy to są przykre do poruszania, ale oparte na wieściach i pogłoskach z niejednej już europejskiej stolicy. Nasze ministerjum spraw zagranicznych jest oczywiście wobec takiego stanu rzeczy bezsilne, a może nawet niekompetentne do wkraczania w daną materję. Niechże więc sami Dorjanowie Gray'o staranniej dbają o własne moralne podobizny!

Spectans.

BRAK INSTYNKTU PAŃSTWOWEGO

...terminosque Regni et Magni Ducatus non minuam, sed defendam et dilatabo...
(Formuła przysięgi koronacyjnej z r. 1573)

Żądanie przez Naczelnika Państwa, poparcie przez Rząd, a uchwalenie przez Sejm wydzielenia pow. brasławskiego i lidzkiego z granic Rzeczypospolitej i włączenie ich do obszaru plebiscytowego t. zw. Litwy Środkowej nie ze względu na przyszłość tych ziem budzić winno niepokój i troskę. Przyszłość ich mimo wszystko, jest przesądzona. Żadna siła, żadne wpływy obce, zakulisowe nie są zdolne stanąć wpoprzek woli narodu i woli zamieszkującej je ludności. A wypadki ostatnich dwuch tygodni będą może miały tę dobrą stronę, że pobudzą wreszcie ogół do pracy i do większej stanowczości i energji, aby wolę tę, mimo wszelkich przeszkód, przeprowadzić. Groźniejszym wszakże, bardziej niepokojącym jest w uchwale z dn. 16 b. m. fakt, że czynniki decydujące w Rzeczypospolitej okazały taki brak instynktu państwowego, taki brak instynktownego poczucia całości i niepodzielności Ojczyzny, że uchwałą podobną przeprowadziły.

Określone, stałe terytorjum jest dla państwa najpierwszym warunkiem istnienia. Najróżniejsze definicje państwa, przez naukę prawa państwowego stworzone, stale czynnik ten na pierwsze wysuwają miejsce. Państwo — to kraj i lud pod władzą najwyższą, to organizacja władzy zwierzchniej na pewnem, określonem terytorjum. Niektórzy teoretycy np. Fricker, idą nawet pod tym względem tak daleko, że — według nich — państwo, jeśli zmienia swe granice, jednocześnie przestaje istnieć, a na miejsce jego powstaje państwo nowe. Bez granic stałych i określonych nie ma ani państwa, ani narodu, jest tylko horda.

Poczucie niepodzielności i całości państwowego swego terytorjum jest u wszystkich ludów cywilizowanych podstawą ich samowiedzy narodowej. Każdy Francuz, Anglik, czy Niemiec zna od dziecka terytorjum i granice swego państwa, uczy się o nich równocześnie z nauką czytania i pisania i wie, że to właśnie terrtorjum stanowi kraj w którym żyje, stanowi jego dziedzictwo po przodkach, jego Ojczyzna. Teoytorjum tego zawsze gotów jest bronić przeciw wszystkim, którzy pragną je uszczuplić i w jego obronie bez wahania decyduje się na każdą ofiarę. Niema wojny bardziej popularnej, bardziej jasnej dla wszystkich i zrozumiałej, jak obrona terytorjum państwowego. I dlatego te wszystkie wojny, który celem są zmiany terytorjalne, nie kończą się między narodami cywilizowanymi kompromisem. Dlatego właśnie ostatnia wojna światowa była tak zacięta i krwawa i pomimo wszelkich prób pośrednictwa wcześniej byc zakończona nie mogła, zanim Niemcy nie zostały powalone.

Choćby przytem teren sporny był niewielki i dla państwa nie przedstawiał wartości, naród zdrowy pod względem moralnym wszystkie siły wytęży w jego obronie, wie bowiem i odczuwa instynktownie, że jeżeliby się zgodził dobrowolnie choćby cząstkę terytorjum państwowego ustąpić, wówczas możnaby mu odebrać i resztę i pozbawić go niepodległości państwowej, bo na lepszy los nie zasłużył. Terytorjum państwowe jest świętością. Można je stracić, jeśli się jest w wojnie pokonanym, ale nigdy czynić go nie wolno przedmiotem targu. W obronie najdrobniejszej cząstki terytorjum państwowego narody zdolne są do największych poświęceń i ofiar. W tym właśnie instynkt państwowy najlepiej i najdobitniej się wyraża. Tylko my jedni jedyni dajemy światu widowisko dobrowolnego wyrzekania się 11000 km. swego terytorjum państwowego z obawy przed.... *przesileniem rządowem!*

Mieli niegdyś Polacy silnie zakorzenione poczucie całości i nienaruszalności swych granic i gotowi byli o mały gród pograniczny Drezdenko rozpocząć z Krzyżakami „Wielką wojnę", uwieńczoną zwycięstewm pod Grunwaldem. Później jednak, gdy nasza ekspansja skierowała się stanowczo ku wschodowi, a na kresach południowo-wschodnich Rreczypospolitej powstało sporne nieokreślone bezpańskie terytorjum „dzikich pól", poczucie to coraz bardziej zaczęło słabnąć i zanikać. Politykę państwową

zastąpiła polityka „królewiąt“ kresowych, polityka nieliczenia się z nikim i z niczem, wypraw szaleńczych, na własną rękę przedsiębranych umów i ugód haniebnych, uwłaczających godności Rzeczypospolitej.

Później zaś lata niewoli bardziej jeszcze wpłynąć musiały na osłabienie instynktu państwowego w narodzie i sprawiły, że uchwała taka jak 16 listopada r. b. była możliwa.

Trzeba jednak zdać sobie wreszcie sprawę. jak dalece stoimy nad przepaścią, trzeba zrozumieć, że polityka zrzekania się, rozdarowywania polskich ziem jest polityką samobójczą i zbrodniczą trzeba zerwać z tradycjami „dzikich pól“, a obudzić w sobie ten głęboko, na dnie duszy drzemiący instynkt państwowy, który przodków naszych wiódł pod Grunwald, który Państwu Polskiemu dał niegdyś wielkość i potęgę. *J. R.*

RYGA CZY SJON?

„Swobodny rozwój kultury i języka oraz wykonywanie obrządków religijnych, pielęgnowanie swego języka ojczystego, organizowanie i popieranie własnego szkolnictwa, rozwijanie kultury i tworzenie w tym celu stowarzyszeń i związków".

Tak brzmią dwa ustępy Traktatu Ryskiego, zapewniajace prawa ludności polskiej po tamtej stronie kordonu. (Art. 7. §.I.)

To teorja, a oto praktyka.

W szkołach polskich w Kijowie, Odesie i Żytomierzu nietylko nie wolno nauczać religij· lecz czekiści dokonują stałych rewizji w poszukiwaniu książek do nabożeństwa. Posiadanie takich książek jest traktowane jako kontrrewolucja, a żaden kapłan katolicki nie ma prawa wstępu do szkoły.

Tak wygląda „prawo swobodnego wykonywania obrządków religijnych." Ściśle według brzmienia protokułu czternastego „Mędrców Sjonu“;

...— *Nie będziemy tolerować żadnej innej oprócz religji Mojżeszowej...*

— — — — — — — — — — — — — —

W Żytomierzu i Odesie młodzież szkolna, niezależnie od wieku jest lokowana w internatach, gdzie dziewczęta mieszkają pospołu z chłopcami...

W rezultacie: intensywny rozwój chorób wenerycznych skonstatowany u poddanej temu systemowi młodzieży oraz takie fakty jak propozycje, czynione podczas zajęć szkolnych nauczycielkom przez uczniów klasy piatej z wymienieniem dokładnem sumy...

To również dotyczy sprawy „organizowania własnego szkolnictwa" tylko, że przewidziane jest w innym „Protokule."

U chrześcian młodzież ulega zepsuciu przedwczesnemu dzięki naszym nauczycielom, służbie i guwernantkom...

Nazwiska?

I owszem, oto są na Kijów: Kohn, Liwszyc, Szafran, Rozenberg.

— — — — — — — — — — — — — — —

W tych samych miastach szkoły polskie otrzymują bilety do teatru wraz z rozkazem przyprowadzenia całej szoły niezależnie od wieku i płci. Dla tej publiczności artyści produkują utwory tak bezecne, że najbardziej zahukani nauczycielowie postanawiają wyprowadzić z teatru szkołę. Wówczas we drzwiach staje czekista i przypomina zbuntowanym:

„Pamiętajcje, że to pachnie Czerezwyczajką"....

Rozwój kultury na tem się nie kończy.

Z Moskwy przysyłają szkołom polskim elementarz komunistyczny. Na jednej z pierwszych stron mieści się tam taki obrazek: jakiś osobnik z młotem w ręku miażdży leżącego na ziemi Białego Orła. Napis objaśnia, że taki los spotka wszystkich wrogów Sowietów, zaś Komisarz wizytujący szkoły, tłomaczy dzieciom, że najbardziej chwalebnym uczynkiem ze strony młodzieży komunistycznej jest „mordowanie burżujów."

I to przewidują „Protokuły".

„W tak zwanych państwach wielkich rozpowszechniliśmy literaturę rynsztokową, pełną brudów"...

— — — — — — — — — — — — — —

— Ale przecież możliwe jest nauczanie pozaszkolne, powie czytelnik, wreszcie szkolnictwo prywatne?

— Tak, ale pod warunkiem, że liczba nauczanych nie przekracza liczby pięciu, wszelkie zwiększenie tej liczby prowadzi nauczycieli a przedewszystkiem rodziców wprost do Czerezwyczajki....

I słusznie bo przecie protokuł szesnasty zapowiada:

— *Skasujemy wszystkie rodzaje nauczania prywatnego.*

— — — — — — — — — — — — — —

Za panowania Joffe, Kohn i ich współwyznawcy wykonują Traktat Ryzki zgodnie z programem „protokułów Mędrców Syonu" to jest rzecz z ich strony zupełnie zrozumiała i łatwa do przewidzenia jeszcze w roku minionym.

Lecz dlaczego nasi dyplomaci ułatwili im to zadanie, redagując w odpowiedni sposób odpowiednie artykuły, to już jest tajemnica owych poufnych narad „prezesa" Joffego z „prezesem" Dąbskim....

Idem.

NIEBEZPIECZEŃSTWO ŻARGONOWE

Żargonówki są u nas bardzo poczytne. Niektóre z nich cieszą się większym popytem, niż pisma polskie w Polsce. Jednakże w danej chwili niebezpieczeństwo, o którem mowa w tytule, w równej mierze dotyczy nawet najmniej rozpowszechnionego pisma żydowskiego.

Rzecz prosta bowiem, że w naszej administracji państwowej, zarówno w niższych instancjach, jak i w centralach ministerjalnych, muszą istnieć referaty prasowe, które zarazem informują przedstawicieli władzy polskiej o głosach prasy żydowskiej.

Jednocześnie wszelacy działacze żydowscy i posłowie sjonistyczno - nacjonalistyczni, zasiadający w Sejmie, zużytkowują, cały swój autorytet na korzyść żydów, składając ustawicznie wizyty ministrom i ich zastępcom, oraz różnym naczelnikom, by wyjednywać przeróżne, tak zwane ulgi, będące w istocie przywilejami żydów.

A to się tym orędownikom niemal zawsze udaje. I inaczej być nie może. Łatwo wygrać sprawę, gdy do niej adwokat przygotowywał się wszechstronnie, a prokurator jest nieobecny. A tak się dzieje ze sprawą żydowską.

Rzecznicy jej przed forum władz polskich przychodzą zbrojni w liczne argumenty, gruntownie przetrawione uprzednio w różnej

postaci. Działacz żydowski rozważał najpierw kwestję na zebraniu publicznem, na naradzie intywnej i we własnym gabinecie.

Minister zaś, dyrektor departamentu i naczelnik wydziału są z góry urabiani i nastrajani przez opinję żydowską, przez żargonówki referowane z obowiązku i z ochoty przez urzędników państwowych, żydów wyłącznie. O ile bowiem wiadomo, w różnych ministerstwach, komisarjatach rządowych, województwach, starostwach i t. d. jedynie żydzi, jako znawcy żargonu i hebrajszczyzny, referują władzom gazety żydowskie. W całem państwie jest pono jeden jedyny na urzędzie katolik, który czyni to samo.

Zresztą nawet Polak i katolik, referujący ten przedmiot, ma pole ściśle ograniczone. Nie może on przecież polemizować po dziennikarsku z artykułami dzienników żargonowych; nie może uprawiać publicystyki w referacie z konieczności biurokratycznym.

I stąd krok jeden do zwycięstwa praktycznego wszelakich postulatów sjonistyczno-nacjonalistycznych, zapewniających żydom inflację i cichy podbój w dziedzinie politycznej i ekonomicznej ze szkodą dla Polski.

Jedynem możliwem antydotum w tej atmosferze zatruwającej żydowszczyzną przedstawicieli władz polskich, jest przeciwdziałanie za pomocą prasy polskiej, która również z obowiązku musi być referowana tymże kierownikiem administracji rządowej.

Nowy zalew Polski przez żydów z Rosji bolszewickiej mógłby być zatamowany w porę, gdyby prasa polska zawczasu zaalarmowała opinję o grożącem niebezpieczeństwie. Alarm wprawdzie nastąpił, ale poniewczasie, kiedy nowi przybysze już zdołali się u nas usadowić na dobre. Alarm wszczęła prasa polska dopiero wtedy, gdy z prowincji bezpośrednio zaczęły napływać rozpaczliwe wiadomości o nowem zażydzeniu miast polskich przez przybyszów zbolszewizowanych. Przedtem zaś, kiedy można było zapobiedz temu przez takiż alarm prasy polskiej na zasadzie wiadomości z gazet żydowskich, w redakcjach polskich ciskano do kosza te informacje, już to „z braku miejsca“, już z innych przyczyn. A tymczasem Priłucki i jego towarzysze działali w gabinetach ministrów polskich, przekonywali ich, brali argumentacją żydowską i uzyskali pozwolenie na napływ żydów prawie bez ograniczenia, na tworzenie dla nich komitetów w Polsce, które ich wspierają wszechstronnie i ułatwiają im osiedlenie się stale wbrew interesom Polski. Wielka liczba tych żydów z Rosji wsiąknęła także świeżo w Wileńszczyznę i powiaty sąsiednie, i zapewne rozstrzygać będą losy tej krainy podczas wyborów, rozstrzygać oczywiście w sensie ujemnym dla Polski.

I pomyśleć, że prasa polska codzienna, gdyby była czujna i nie liczyła się z małostkowościami ani względami ubocznemi,— mogłaby zapobiedz temu, protestując głośno i domagając się od rządu stanowczego odrzucenia zabiegów żydowskich posłów i działaczów.

Na to niebezpieczeństwo, którego pierwszem źródłem są żargonówki, obrabiające na swych łamach całokształt teorji spraw żydowskich i argumentujące ad usum i do uszu władz polskich, niema innego środka, jak zbijanie tych argumentów żydowskich za pomocą prasy polskiej; wytykanie nicości, krętactwa i szkodliwości wywodów żydowskich, aby one nie trafiły bez odparcia do czynników decydujących w Polsce.

Obserwator.

PUSTE ORZECHY

JANKIEL GRA...

Dopokąd grać będzie w Polsce Jankiel... na cymbałach?

Z trupa monarchji Habsburgów, orła dwugłowego rozlazło się po świecie robactwo: żydy z wiedeńskiej Neue-Freie Presse, żydy z Juda-Pestu i duchowy patron enkaenu galicyjskiego marszelik Wilhelm Feldman, mentator literatury polskiej i wychowawca „patrjotycznej" młodzieży. Ani Wernyhora, ani Mickiewicz, ani Szujski lub Kalinka, tylko ów pana Twardowskiego Boruta—

Od nasienia Izlaelowego nie został niestety wolnym także korpus oficerski wojska polskiego Może sobie minister p. Sosnkowski z wdziękiem opowiadać Wojskowej Komisji Sejmowej o zaletach organizacji. Jest faktem, że w miastach kresowych, np. w Równem, skąd mieszkańcy przynoszą rozpaczliwe wieści, roi się od oficerów żydów. Oni nadają ton w miejscach publicznych, w żargonie lub ruszczyzną, oni chwalą się, że „naszi zdzieś nie ziewajut". Rekrut miejscowy pod ich korepetycją nie wie czyim jest żołnierzem: „Petlury czy Piłsudskiego". Autentyczne.

Można mieć różne poglądy na potrzebę armji. Można marzyć o wystarczalności policji do bezpieczeństwa publicznego i narodowego. Ale jeżeli się utrzymuje armję, trzeba być konsekwentnym i rozumieć konieczność *honoru* oficerskiego.

Otóż żyd i honor to sprzeczność w założeniu. Mogą istnieć żydzi z instynktem dobra, żydy łagodne z pokolenia Benjaminowego, ale nikt nigdy nie widział żyda z rumieńcem wstydu lub wyrzutem z honoru. Ich sceptyczny intelekt drwi z tego poczucia, a temperament fanatyczny go nie znosi. Na tym punkcie mostu pomiędzy aryjczykiem a żydem nie ma. Dlatego żyda nie można brać na oficera, będzie z niego Dreyfus i nie on będzie temu winien, ale ci co go mianowali.

Świat widział, że armja austrjacka pod tchnieniem żydów rozsypała się odrazu jak zwiewny piasek, a Francja uniknęła zagłady po przez trupa Rosji, przez pomoc Anglji i Ameryki i nadzwyczajny improwizowany heroizm narodu, przyczem opłaciła swe ocalenie okropnym krwotokiem. Drogo Francję kosztował Dreyfus.

Żydzi zdolni są do rzezi bydła, nie do aktów obrony narodowej.

Dziadek.

„LADA PISMAK"

Napisał Kazimierz Ehrenberg.

MOTTO.

„Kto wie, czy najbardziej nie zabagnił sprawy p. Ehrenberg, który w Petersburgu wysługiwał się narodowej demokracji, a teraz wysługuje się Belwederowi i alarmuje opinję świata, że zbrodnia się stanie, jeśli sprawa nie będzie tak rozwiązana, jak on chce. Pan Ehrenberg powinien się wpierw oczyścić z zarzutów, postawionych mu przez p. Nowaczyńskiego, a potem może mieć prawo głosu"

(Ksiądz Maciejewicz w mowie Sejmowej dmia 16 listopada 1921 r.)

Ksiądz Maciejewicz, który z rozbrajającą naiwnością święcie wierzy w te wszystkie brednie i świństwa, które mu lada świstek i lada pismak endecki do wierzenia podaje, jednemu tylko nie może uwierzyć, aby Naczelnik Państwa istotnie wyrzekał się Ziemi Wileńskiej, i t. d.

(Kurjer Poranny z dnia 17 listopada, artykuł wstępny).

Kiedy Arystofanes Ateńczyk, najzjadliwszy, najcholeryczniejszy, najdowcipniejszy człowiek jakiego wydała staroateńska kultura, biorąc namiętny udział we wszystkich sprawach publicznych swojej epoki i swojego kraju, komedjami swemi jak piorunami rzucał w swoich współobywateli i pisał nie dla rozrywki i zabawienia widzów, ale dla zrewolucjonizowania ich moralnych i politycznych pojęć — Kleon - garbarz, który po Peryklesie stał się bożyszczem Aten. obrażony do żywego w swojem „patrjotycznem poczuciu" zuchwałością arystokratycznego komedjopisarza i brakiem szacunku dla tego wszystkiego, co on, Kleon i jemu podobni uważali za nietykalne „ideały ojczyzny", — wytoczył Arystofanesowi proces. kwestjonując jego prawo przynależności do ateńskiego społeczeństwa.

Mutatis mutandis Adolf Nowaczyński jest Arystofanesem dzisiejszej Polski. Nigdy jeszcze nie stał tak blisko swego wzoru, jak w „Nowych Atenach". Już nie przez nawiązywane artystycznie z dzisiejszą chwilą obrazy przeszłości, ale przez aktualne karykatury miasta, które się uważa się za gniazdo i świątynię wszystkiego, co jest polskiem, rzucił swoim współczesnym na głowy potężne zwierciadło, które miało odbić ich rysy i rozkrwawić ich głowy. Mało dbał przytem o ich uciechę i rozrywkę, użył raczej śmiechu i dowcipu za przynętę dla ściągnięcia ludzi do teatru, aby tam rozedrzeć przed nimi zasłonę i kazać im patrzeć w szkła wypukłe, dla przyjrzenia się spustoszeniom, jakie w nich poczyniła rdza ich czczości, głupoty, błazeństwa. Pokazał warszawianom w perspektywie swojej potwornej panoramy oddalony cokolwiek Kraków. Ileżby miał do pokazania, gdyby mógł dać w tem samem okrutnie bezwzględnem przecięciu i Warszawę. (Kurjer Poranny z 21 lutego 1913.)

WŚRÓD KSIĄŻEK

Publius Ovidius Naso. Kunszt miłosny. Tłumaczył z łaciny Jerzy Rościszewski. Nakładem Spółki Wydawniczej „Vita Nuova". Skład główny u Gebethnera i Wolffa. Warszawa, r. 1922. Str. 104.

Cena pojedyńczego egzemplarza 40 mk. Prenumerata kwartalnie mk. 480, półrocznie 960, rocznie 1920. Zagranicą 2880.

Ceny ogłoszeń: Za wiersz milimetrowy lub jego miejsce na II stronie **mk. 130.** na przedostatniej **100 mk.,** na ostatniej **110 mk.** (3 szpalty).

Konto czekowe w P. K. U. Nr. 3105.